NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w miejscu 1456 Marek, z przes. 1482 Mk. Półrocznie 2964 Mk. Rocznie 5928 Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

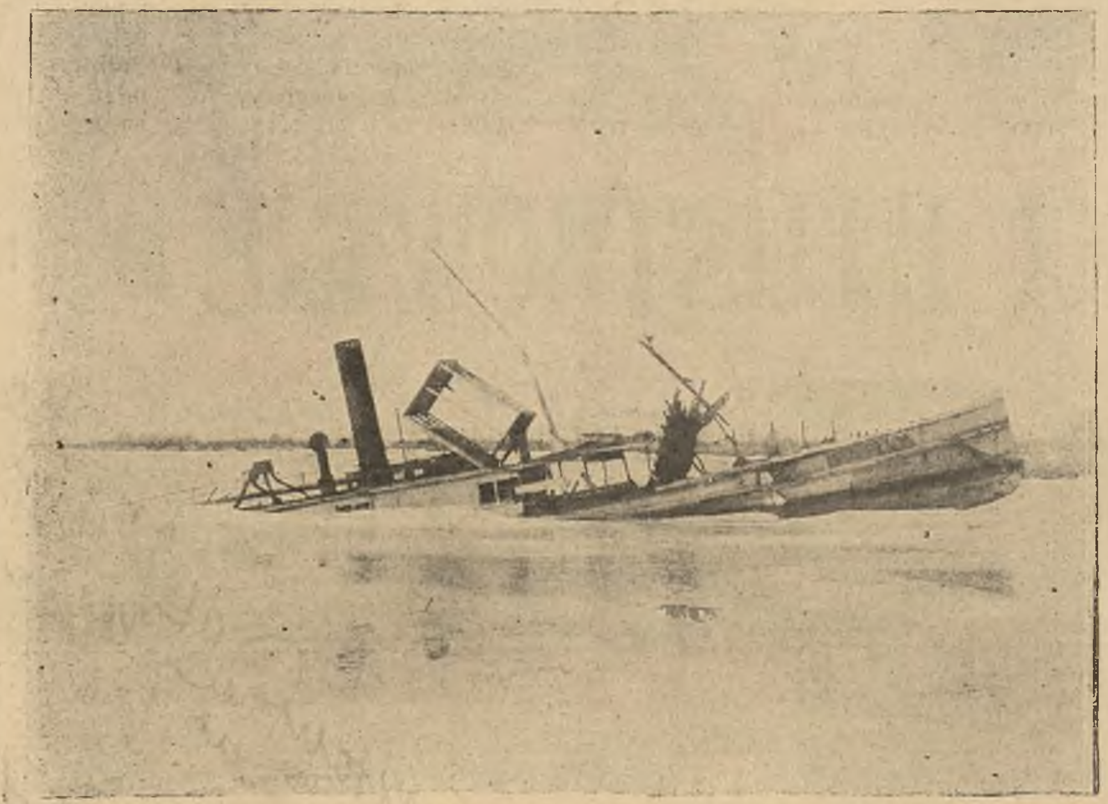
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 120 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 19 sierpnia 1922. Nr. 33.

Europejscy Kannibale



Władze sowieckie odnajdują ślady zaginionego dra Kryłowa z gubernii samarskiej



Flotylla na Pinie i Prypeci: Parowiec „Warta", zatopiony podczas cofania się naszych wojsk przed naporem hord bolszewickich.

Europejscy Kannibale.

(Do il'ustracyi t tułowej .

Ludożerstwo, uprawiane dotąd przez dzikie ludy afrykańskie i australskie, stało się dla Europy jednem z „dobroczynnych" następstw prowadzonej w obronie kultury i cywilizacyi wojny światowej i rządów nowoczesnych apostołów wolności i postępu, bolszewików.

Już w poprzednich numerach naszego pisma wspominaliśmy o licznych wypadkach ludożerstwa w prowincyach głębokiej Rosyi, najdotkliwiej odczuwających klęską głodową, gdzie ludność ratuje się od śmierci mięsem nieboszczyków. Nie są to gołosłowne wymysły, puszczone w obieg przez bolszewickich nieprzyjaciół, lecz fakty konkretne, stwierdzone protokołami ekspedycyi Nansena i doniesieniami licznych pism rosyjskich. Władze bolszewickie nie uważają swych ludożerców za zbrodniarzy, traktując ich na podstawie orzeczenia lekarskiego jako ludzi, dotkniętych zboczeniem umysłowem. Tysiące zwłok ludzkich uratowało życie tysiącom wygłodzonych, mnóstwo dzieci padło w tym samym celu ofiarą swych własnych rodziców.

Obecnie donoszą pisma rosyjskie o tragicznym zgonie znanego rosyjskiego działacza, członka pierwszej Dumy, dra Kryłowa, z gubernii samarskiej, który zniknął przed niejakimś czasem w sposób tajemniczy. Wezwano go do chorego w odległe strony, dokąd też pospieszył, nie przypuszczając, co go czeka. Wszystkie, po jego zniknięciu przedsięwzięte poszukiwania okazały się bezskutecznemi, przed niedawnym dopiero czasem udało się nareszcie wyświetlić tajemnicę. Oto w pewnym domu zapadłej wsi samarskiej trafiono przypadkowo w jednej z chat włościańskich na beczkę, w której znaleziono nasolone resztki ciała ludzkiego. Były to jak się okazało, zwłoki nieszczęśliwego lekarza najprawdopodobniej zamordowanego przez mieszkańców, aby, nie mogąc ich ratować od śmierci głodowej swą wiedzą, ratował ich bodaj ciałem. Aby mięso, wobec zbliżającej się pory letniej, nie uległo przedwczesnemu zepsuciu, nasolono je i w ten sposób przechowywano.

Flotylla na Pinie i Prypeci.

Przed wojną światową na rzekach Pinie i Prypeci, oraz na Królewskim kanale, łączącym wodozbiory Wisły i Dniepru, ruch handlowy, a po części osobowy był godny uwagi. Między Pińskiem a Kijowem kursowały parostatki, czy to osobowe, czy towarowe, holowniki ciągnęły szeregi barek ładownych i tratwy gatunkowego drzewa na eksport za granicę, przeważnie do Gdańska, pogłębiarki pracowały bez przerwy, regulując nurt drogi wodnej, na której wrzał ożywiony ruch handlowy pomiędzy Zachodem a Wschodem.

W czasie wojny światowej wszelki ruch ustał, statki wycofano do baz wodnych, tak, że w roku 1918 prócz nielicznych kryp i łodzi, w rękach polskich na Polesiu nie było ani jednego statku. Właściwości terenowe Polesia od chwili przeniesienia tam operacyi wojennych wymagały koniecznie, jako środka walki i transportu flotylli rzecznej. Już od Pińska Prypeć z jej licznemi odnogami i dopływami, oraz kanałem, staje się poniekąd osią całej akcyi wojennej, aż do osiągnięcia przez wojska polskie linii rzeki Dniepru. W poszczególnych wypadkach tworzy ona naturalną przeszkodę i podstawę obrony, niekiedy nawet na ogromnej przestrzeni. Tak od Petrykowa do Dawidgródka i Stolina osłanie łącznie z dolnym biegiem Słuczy i Horynia, oraz na południe leżącemi bagnami, całe Polesie od południa. Dalej od Mozyrza w kampanii ukraińskiej jest jedną z głównych arteryi operacyjnych, jak np. w akcyi na Czernobyl.

Dla wyzyskania jednak tych korzyści terenowych, coraz dotkliwiej dawał się odczuwać brak silnej i bogato wyposażonej floty rzecznej. Przy zdobyciu Pińska wpadają w ręce polskie tylko nieliczne jednostki rzeczne, w dodatku bardzo uszkodzone. Z Wisły przybywają statki Bug, Warta i kilka motorówek. Są to ilości zupełnie nie wystarczające dla dostatecznego oparcia i wyzyskania bogactwa wód poleskich. Dopiero operacye z końca 1919 r. i początku 1920 r. dają bogaty plon w tym kierunku. Dzięki niezrównanej dzielności naszych wojsk i energii działania, olbrzymie zyski daje operacya Mozyrska. Wskutek zdecydowanego, a błyskawicznego uderzenia Grupy Poleskiej jenerała Sikorskiego, dziś Szefa Sztabu Jeneralnego, nie da-



Flotylla na Pinie i Prypeci: Wydobywanie systemem komandora Maleckiego zatopionego statku z nurtów rzeki.



Flotylla na Pinie i Prypeci: Parowiec „Gen. Szeptycki" poprzednio zatopiony, obecnie przywrócony do pierwotnego stanu.

ącego możności wojskom czerwonym zniszczenia materyału wojennego, zostaje zdobyty nienaruszony tabor rzeczny, w nim 3 statki pancerne, 23 pierwszorzędnych statków transportowych, kilka holowników, kilkanaście łodzi motorowych, kilka pogłębiarek pływających, z górą 60 berlinek, oraz bezcenne, a będące w ruchu doki okrętowe. Wśród nich statki „Ataman", „Szeptycki" i „Leon" zaliczały się do największych jednostek rzecznych. To też w dalszej historyi bojów poleskich i całokształcie operacyi ukraińskich, szczególne znaczenie odgrywają statki bojowe, z których jeden całkowicie uruchomiony, przeprowadza świetne raidy na Prypeci. Zdobycie Czernobyla jest wynikiem jednej z tych akcyi, które swoją niewzruszoną odwagą, z jaką była przeprowadzona, stanowczością i poświęceniem, mogą być przykładem skutecznego działania floty rzecznej. Czernobyl zostaje zdobyty. W stoczonej walce z naszym statkiem pancernym, giną dwa statki pancerne bolszewickie, a dwa inne wychodzą z boju poważnie uszkodzone. W dalszym ciągu bojowa flotylla opanowuje ujście Prypeci, a następnie konwojuje transporty polskie w dół Dniepru do Kijowa, mimo, że lewy brzeg był obsadzony przez wojska nieprzyjacielskie. Zamknięcie ujścia Prypeci, oraz opanowanie przez Grupę Poleską prawego brzegu Dniepru od Gorwala do Gornostajpola, powoduje wycofanie się bojowej flotylli bolszewickiej na górny bieg Dniepru i rzekę Sosz, gdzie przez dłuższy czas pozostawać musi bezczynnie.

Wysłany z Kijowa poleski statek bojowy bierze udział w akcyi bojowej na Kaniów i stacza poważną bitwę rzeczną z 6-ciu monitorami bolszewickimi, lecz w międzyczasie wzmożona flotylla bolszewicka rozpoczyna akcyę zaczepną, przerywa się z rzeki Soszy w dół Dniepru, gdzie pod Okuninowem ochrania przeprawę wojsk sowieckich, dążących do obejścia Kijowa od zachodu. Tak bojowy statek poleski będąc pod Okuninowem zostaje zamknięty, załoga jego musi go zatopić o 15 klm. powyżej Kijowa, a sama wycofywać się na zachód, co chwila przerywając z bronią w ręku otaczający ją pierścień wojsk bolszewickich.

Co prawda flotyllę transportową zajęcie Czernobyla i Rzeczycy powiększa znowu o kilkanaście statków, holowników i berlinek, oraz bogate urządzenia portowe, ale najlepsze statki, będące w Rzeczycy, nie mogły być wyprowadzone na Prypeć i zostały unieruchomione, a następnie zniszczone.

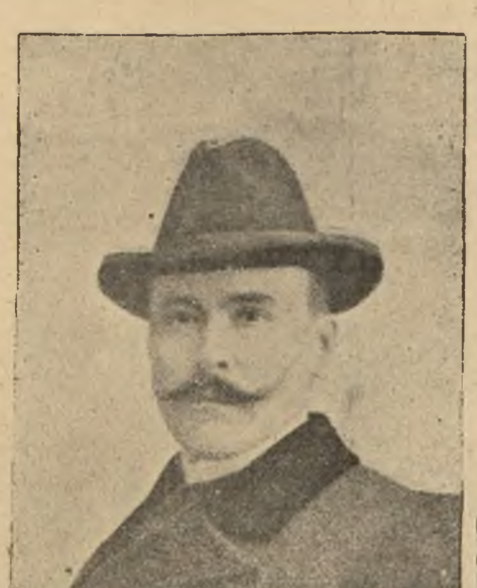
W miarę naszego odwrotu, dzięki energii jenerała Sikorskiego, wszystkie objekty rzeczne były wprost usiłowaniom naszych marynarzy, wszystkie jednostki rzeczne, przeciągane niejednokrotnie rękami swoich załóg, przez ławice piaskowe zostały przetransportowane aż pod Pińsk. Tam jednak wskutek postępującego stale obniżenia się stanu wody, oraz zupełnego wyschnięcia kanału Dniepro-Bugskiego, a jednocześnie dalszego cofania się



Flotylla na Pinie i Prypeci: Nadbrzeżna osada wraz z portem rzecznym.

systematycznie i całkowicie ewakuowane w górę Prypeci. Ogromny tabor berlinek i wielkich łodzi szedł ładowany wszelkim sprzętem wojskowym, oraz bogactwami Polesia, pięknym budulcem i dyktą (fornierem). Lato było upalne, stan wody na rzekach Prypeci i Pinie opadł tak znacznie, że trudności związane z transportem, zdawały się nie do przezwyciężenia, jednakże dzięki nadludzkim wojsk na prawem i lewem skrzydle Grupy Poleskiej, wszystkie statki, po zdjęciu maszyn i cennych urządzeń, musiały być zatopione. Materyał przewieziono razem z bezcennymi skarbami drzewnymi ziem poleskich drogą lądową do głębi Polski.

W ostatecznym wyniku, pod koniec 1920 r. po zwycięskiej kontrofenzywie wojsk polskich, na Prypeci i Pinie nie było ani jednego opływającego statku, ani jednej barki pogłębiarki, szalandy lub innego objektu pływającego. Wzdłuż nurtu rzeki na przestrzeni 70 klm. na wschód od Pińska gęsto sterczały z wody kominy, nadbudówki zatopionych statków i spalone kadłuby licznych barek, zagradzając drogę wodną. Na rzece życie zamarło, tylko gdzieniegdzie poruszały się bojowe motorówki lub przepływały cicho płytkie łódki tubylczej ludności, dla której woda jest jedynym środkiem komunikacyi.



Zgon dwu wybitnych malarzy polskich: Śp. Henryk Weyssenhoff.

Po ukończeniu wojny, do najpilniejszych spraw państwa należało wskrzeszenie komunikacyi, a więc umożliwienie i wznowienie rzecznego ruchu na Pinie i Prypeci, jako właściwie jedynych drogach, tak komunikacyjnych i transportowych i niejednokrotnie strategicznych. W tym celu trzeba było wydobyć zatopione statki i uruchomić je. Ale stan ich był beznadziejny. Większość została zatopioną za pomocą materyałów wybuchowych lub ręcznych granatów, skutkiem czego w kadłubach powstały ogromne wyrwy, inne zaś tonąc skutkiem pożaru i osiadając na nierównem dnie, ulegały przełamaniu lub przegięciu. W jednem miejscu zatopiono na głębokości 12 m. 8 statków, z których 5 le-



Zgon dwu wybitnych malarzy polskich: Śp. Ferdynand Bryll przy pracy. Fot. „Marya", Kraków.



Nowoczesna szkoła pracy na kresach: Szkoła im. Królowej Jadwigi w Stanisławowie, w której ubikacyach urządzono Wystawę.

żało na dnie, jeden na drugim, jak zwalone do kupy polana drzewa, wnętrza zaś zatopionych wypełniły się mułem i piaskiem. Niejednokrotnie tonąc, przewracały się do góry dnem. Podniesienie więc ich nastręczało olbrzymie trudności, zatykanie pod wodą dziur i wypompowanie wody w tym wypadku nie wystarczało. Trzeba więc było wprost podnosić ciężary do 300.000 klg. na taką wysokość, aby można było dokonać chociażby prowizorycznej naprawy podziurawionych kadłubów.

Departament Spraw Morskich wziął inicyatywę w tym względzie w swoje ręce, a posiadając li tylko na Prypeci bojowe motorówki, musiał dla rozpoczęcia akcyi ratowniczej zorganizować specyalne, t. zw. pogotowie techniczne, którego kierownikiem zamianowano komandora Maleckiego. W krótkim czasie ten energiczny inżynier zorganizował wzmiankowane pogotowie i skompletował odpowiedni minimalny personal techniczny. W Pińsku, koło którego były zatopione statki większych rozmiarów, została urządzona główna baza pogowia, dla przeprowadzenia robót, dalej poza Pińskiem został wydzielony pododdział pogotowia pod kierownictwem inż. por. Sipowicza. Do podnoszenia statków inż. kom. Malecki zastosował zupełnie nowy, własnego pomysłu przyrząd, który zaciekawił nie tylko fachowców, tak, że np. francuski jenerał Niesel umyślnie udał się do miejsca, gdzie podnoszono zatopione statki, dla oglądnięcia praktycznego wynalazku. Wyniki działalności pogotowia były wspaniałe i przewyższały wszelkie oczekiwania. Dzięki umiejętnej organizacyi pracy, a zwłaszcza dzięki wspomnianemu wynalazkowi, pogotowie zdołało w ciągu roku, a właściwie okresu jednej nawigacyi, pomyślnie wywiązać się z zadania i wydobyć zatopione wszystkie cenniejsze statki. – Ogółem podniesiono 20 parowców, 4 dragi, przeszło dwadzieścia żelaznych i drewnianych szaland, oraz 4 motorówki ogólnej wagi 3.000.000. klg. oprócz tego częściowo przy pomocy nurków wydobyto z wody dużo cennego materyału, jako to: części maszyn, obrabiarek, łańcuchów i t. p. ogólnej wagi 100.000 klg. —

Na odrębne zaznaczenie zasługuje niezmiernie ciekawa ekonomiczna strona przedsięwzięcia, a mianowicie: wartość wydobytego z wody materyału wynosi przeszło 400.000.000. mk. pol. wszystkie zaś wydatki, związane z działalnością pogotowia technicznego nie przekraczają 7%, od wartości uratowanego, tak, że mniej więcej koszta wydobycia 1 tonny wynoszą 13.300 mk. pol.

W ciągu zimy znaczna ilość statków wydobytych została naprawioną i z wiosną 1922 r. ruch na Prypeci i jej dopływach tak handlowy, jak i osobowy ożył na nowo i dzięki niemu ziści się wskrzeszenie zniszczonych i zamarłych obszarów Poleskich terenów i eksploatowanie niezmiernych bogactw tej krainy ku pożytkowi wielkiej Ojczyzny.



Nowoczesna szkoła pracy na kresach: Rysunki i inne prace ręczne młodzieży Stanisławowskiej.



Nowoczesna szkoła pracy na kresach: Jedna z sal Wystawy szkolnej, urządzonej w Stanisławowie.

Zgon dwu wybitnych malarzy polskich.

(Do illustracyi na str. 3).

Dziwnem jakiemś zrządzeniem losu, w jednym i tym samym dniu, 23. lipca b. r., zmarło dwu wybitnych polskich artystów malarzy, w Krakowie śp. Ferdynand Bryll, w Warszawie śp. Henryk Weyssenhoff.

Śp. Ferdynand Bryll, urodzony w Krakowie w r. 1863., mało może znany ogółowi, był jednak jednym z najlepszych portrecistów, a cały szereg prac w tym kierunku świadczy chlubnie o jego uzdolnieniu malarskiem i należytej rutynie, jaką nabył pod kierunkiem mistrza Matejki, który zaliczał go do najlepszych swych uczniów. Kształcił się w Krakowie, Paryżu i Dreźnie, po ukończeniu studyów osiadł w Krakowie, wiodąc tutaj cichy i skromny żywot, oddany całym sercem i duszą sztuce. Prócz portretu uprawiał także z powodzeniem malarstwo religijne i rodzajowe. Zmarł prawie w zapomnieniu, nie umiał bowiem przypominać się ludzkiej pamięci, a ta, przyzwyczajona do głośnej reklamy, nad cichymi i zasłużonymi pracownikami przechodzi zbyt prędko do porządku dziennego. Ciernie życiowe, po których ciągle stąpał, nie pozwoliły na to, aby liście wawrzynu, rzetelnie przezeń zasłużone, ozdobiły czoło artysty.

W szczęśliwszych warunkach przyszło pędzić życie śp. Henrykowi Weyssenhoffowi, choć i on zwalczyć musiał niejedną przeszkodę, nim zdobył rozgłos i uznanie.

RENE BURES.

Zil=X...

tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Dalej, odkrycie to prowadzi nas do małej dziewczynki, znalezionej w worku w willi „Bzów", której właścicielem jest senator Poivrier, ponieważ wiemy już z wszelką pewnością, że tajemniczy Zil, odpowiadający znakowi X — był tym, który zabrał ze sobą dziewczynkę z mieszkania jej siostry, panny Niny Laplanche. Czy tak?

— Oczywiście, ale im więcej brniemy w poszukiwaniach, im bliżej jesteśmy może rozwiązania problemu „trzech zbrodni", tem więcej zagadek staje przed nami.

— Tak — rzekł Iggins. Mamy do czynienia z człowiekiem, lub też z kilkoma ludźmi bardzo sprytnymi i przebiegłymi. Kilka razy zdradził ich wypadek i za każdym razem przecięli nam ślad pod nosem.

— Zdaje mi się — odrzekłem — że na początku sprawy naszej były pewne nieporozumienia pomiędzy Jerzym Dambleuse a senatorem Poivier.

— Nie zapominam o niczem — odpowiedział sucho Iggins. — Podczas sprawy zaszły też różne inne rzeczy, które biorę pod uwagę. Rewolwer, znaleziony przy zwłokach kapitana de Limandoux... a potem nagłe zniknięcie służącej starego Dambleuse'a, Elwiry Bourdon.

— A więc przypuszczacie, tak jak tam, w dyrekcyi policyi, że stary Dambleuse wmięszany jest w tę sprawę.

— Nie wiem nic, nic nie przypuszczam. I nie rozumiem wcale w tem wszystkiem roli starego waryata. Być może, że on wie wszystko, być może, że nie wie nic. Czy on naprawdę broni syna? Wierzę w to chwilami. Czy może stara się podstępnie, aby go obciążyć jeszcze więcej? Chwilami także w to uwierzyć można. A dlaczego? Kiedyśmy byli u niego w momencie zniknięcia Elwiry Bourdon, on sobie poprostu drwił z nas. Niech go wszyscy dyabli wezmą! Dlaczego ta stara kobieta na chwilę przed zniknięciem całowała go w rękę? Jaka jej rola w tej zagmatwanej sprawie?

— Upieram się przy twierdzeniu, żeśmy za małe poszukiwania poczynili tam.

— Gdzie?

— W zamku.

— U starego Dambleuse? To szaleństwo, mój chłopcze! Nic nie było godnego uwagi w tym przeklętym starym zamku. To ci mówi Iggins.

— W zamku, być może, ale w okolicy.

— Być może.

— Słuchajcie, Iggins musimy odnaleźć służącą Dambleuse'a — to jest konieczne.

— Być może — szepnął po raz drugi Iggins, zamyślając się głęboko.

W tej chwili, machinalnie zupełnie, Iggins podniósł do góry duży świecznik, stojący na stole, tuż przy nim i równocześnie krzyknął tryumfująco:

— Co tam jest? Co się stało? — podskoczyłem zaciekawiony do niego.

— Patrz!

To, co było pod świecznikiem i potrafiło tak wyprowadzić z równowagi flegmatycznego kolosa — to był maleńki skrawek kartonu, nic nie znaczący na pierwszy rzut oka, który jednak musiał w sobie zawierać coś bardzo ważnego, skoro mógł wprowadzić w zdumienie Igginsa.

Ruchem wściekłym, gwałtownym, Iggins wyciągnął olbrzymią swoją dłoń i nakrył skrawek, poczem ściągnął go raptownie do kieszeni.

Widziałem, że był zmięszany i niezadowolony ze siebie. Może wstydził się gwałtownego swojego wybuchu przedemną. Ale dlaczego ukrywał tak ten papier przedemną, skoro wykrył w nim coś tak ważnego.

— No i co? — zapytałem.

Nic — odparł zimno Iggins.

Wyciągnął powoli fajkę z kieszeni i zapalił ją.

— Co to za papier?

— Nic.

— Dlaczegoście więc krzyknęli, Iggins?

— Nie krzyknąłem — mruknął, otaczając się kłębami dymu.

Co było robić? Gniewać się? Nie mogłem. Przyznaję, że odkąd poznałem Igginsa, potrafił on taki wpływ na mnie wywrzeć, taką naturalną wyższość mi okazać, że nie śmiałem i teraz nalegać. Czułem się jednak bardzo dotkniętym i stałem przed nim zdenerwowany, zmięszany, nie wiedząc, co robić. Iggins zaś z przymkniętemi oczami leżał w fotelu, paląc fajkę, tak, jakgdyby nic zupełnie nie zaszło.

Czy może miał mnie za jednego ze zbrodniarzy? Myśl ta nagle powstała w mojej głowie, jak błyskawica... Ale czy i ja równie dobrze nie byłem w prawie posądzać jego, skoro on mnie posądzał? Cóż o nim wiedziałem?

A Dalton?

Oczywiście, że opowiem mu to wszystko!

Ale co znowu? Czy już zmysły straciłem? Doszedłem przez tę dyabelską sprawę do takiego zdenerwowania, że zacząłem podejrzywać moich przyjaciół?

Ale dlaczego ten uparty Iggins nie chciał mi pokazać tego skrawka papieru?

W takim razie najlepiej będzie, jeżeli wycofam się ze wszystkiego, skoro nie mają do mnie zaufania...

— Idziemy? — zwróciłem się zimno do Igginsa.

— Tak — odpowiedział i wstał nagłym ruchem, jak automat, pozbawiony myśli i czucia, poprawił czapkę na głowie i skierował się równym, mierzonym krokiem ku drzwiom.

Poszedłem za nim spiesznie i widziałem, jak obojętnie, bez zatrzymania przeszedł obok loży portyera i wyszedł z bramy.

Dopędziłem go na chodniku.

— Gdzie idziesz Iggins? — zapytałem, uderzając go lekko po ramieniu.

— Nie wiem — odparł Iggins, wpatrzony uparcie przed siebie jak lunatyk.

Zawahałem się. — Ale co tam! — pomyślałem — niech się dzieje co chce. Zaczynał on mnie naprawdę nudzić i drażnić.

— Dobranoc — rzuciłem.

— Dobranoc.

— Odszedłem. Po chwili odwróciłem się. Iggins wielkim krokiem oddalał się w przeciwną stronę.

Wezwanie.

Spędziłem dwa dni na nudzeniu się i rozmyślaniu. W ten sposób udało mi się wyładować cały zasób złego humoru, który przechowywałem w sobie. Od tego wieczoru, w którym to robiłem poszukiwania w mieszkaniu Zila w towarzystwie Igginsa, zacząłem się w duchu buntować przeciw temu ostatniemu. Doszedłem nawet do tego, że przekonałem się bardzo łatwo, że i Dalton w stosunku do mnie jest nieufny i podejrzliwy, że działa w porozumieniu z Igginsem i że obydwa wyprowadzili mnie poprostu w pole.

Ale dlaczego?

Na to pytanie nie umiałem sobie odpowiedzieć. Byłem tak zdenerwowany i podniecony, że już wszelkie rozumowania logiczne w tej chwili obce mi były.

Rezultatem tego stanu było to, że tego samego dnia po obiedzie zatelefonowałem zaraz do Daltona. Wiedziałem, że miał być na obiedzie w „Amerykance" z przyjaciółmi. Przypuszczałem, że była to raczej „przyjaciółka", bo mówiąc mi o tem rano, miał minę dosyć zmieszaną. Ale nie liczyłem się już z żadnymi skrupułami.

— Allo! — odpowiedział mi głos Daltona przez aparat.

— Allo! To ty?

— Tak.

— To ja, Vallorbe!

— Domyślałem się tego. Czy coś ważnego!

— Nie, ale muszę ci coś wytłómaczyć.

— Jeżeli nic ważnego, to nie masz potrzeby tłómaczyć. Wiesz dobrze, że policya podsłuchuje nas i słyszy wszystko, co mówimy. Tyś doprawdy chyba oszalał!

— Nie!

— A więc dobranoc.

Dosłyszałem równocześnie jak zawiesił słuchawkę.

Oczywiście wpadłem w jeszcze większą wściekłość. Po krótkiem zastanowieniu się postanowiłem zerwać z tą całą sprawą i ze wszystkimi moimi przyjaciółmi i powrócić do trybu dawnego mojego życia i nie troszczyć się więcej tajemnicą zbrodni senatora Poivier, pani de Beaumont i kapitana de Limandoux. A przedewszystkiem zapomnieć o istnieniu tajemniczego Zila, małej zamordowanej dziewczynki i Elwiry Bourdon — zapomnieć nawet o uroczej Zaklinie Dubois, któ rej miłe wspomnienie niepokoiło mnie od czasu pamiętnej kolacyi w kabarecie.

I dotrzymałem słowa, przynajmniej w jednej części, bo zaraz nazajutrz byłem na obiedzie w towarzystwie nadzwyczaj sympatycznej Monny Bamboche. z którą rozmawiałem wiele o jej przyjaciółce. W rozmowie tej jednak nie wspomniałem ani razu o Jerzym Dambleuse. Dowiedziałem się od Monny, że Zaklina Dubois była obecnie w Neapolu i natychmiast wyraziłem przypadkowy niby zamiar udania się na okres polowania do Oubangin, przejeżdżając przez Egipt. Neapol był po drodze, więc cóż naturalniejszego, że wstąpię na kilka godzin odwiedzić Zaklinę.

Pozatem starałem się całą mocą odpędzić od siebie wszelkie myśli, tyczące się spraw policyjnych i wogóle. Kupiłem sobie białe ubranie, strzelbę nową i dużo przyborów do podróży.

Służący mój, Kazimierz, był zachwycony. Miał pozostać w Paryżu i pilnować mieszkania.

Cały tydzień przygotowywałem się do wykonania tego zamiaru, który uważałem za bardzo poważny. Właściwie to wmawiałem w siebie więcej, że całą tę rzecz biorę na seryo. Wieczorem kładłem się wcześniej do łóżka, wyczerpany ciągłem naprężeniem nerwów i pod pretekstem rozerwania trochę umysłu, kazałem mojemu służącemu przynosić mi wszystkie dzienniki wieczorne i poranne. Kiedy już cały ich stos leżał obok mnie na stoliku, opierałem się wygodnie na poduszkach i w ciszy zupełnej pożerałem poprostu wszystkie wzmianki i wiadomości, dotyczące sprawy, o której chciałem niby koniecznie zapomnieć.

Zdawało się, że teraz koniec rozwiązania był bliski. Jerzy Dambleuse miał stanąć do rozprawy za dni piętnaście. Nowa fala zainteresowania i rozgorączkowania pochłaniała publiczność. Sprawa Senatora Poivrier i złączone z nią inne sprawy znowu omawiane były z namiętnością i ciekawością.

Nikt zdaje się nie wierzył w niewinność Jerzego Dambleuse. Ale przypuszczano, że działał nie sam, ale wraz ze wspólnikami, których prawdopodobnie była cała, dobrze zorganizowana banda, że Jerzy Dambleuse stał na ich czele.

Nie wiedząc nic o istnieniu Zila, o różnych komplikacyach, wiadomych tylko Igginsowi, Daltonowi i mnie, publiczność, interesująca się tą sprawą, wysnuwała z niej niejedną zaciekawiającą tajemnicę.

We wtorek wieczorem otrzymałem niespodziewanie pneumatyk tej treści:

„Czy już przestałeś się dąsać? Przyjdź zaraz — Dalton".

Zdaje się, że właściwie czekałem tylko na to.

Porwałem kapelusz i jak szalony wybiegłem z mieszkania.

W trzy dni później, to jest we wtorek, a w dwa dni po widzeniu się z Igginsem — miało miejsce nasze zebranie w mieszkaniu Daltona. Nie będę opowiadał pierwszego wrażenia, jakie odebrałem ujrzawszy Igginsa. Od pierwszej minuty byłem już pod jego wpływem i dziwiłem się, jak mogłem nie wierzyć w jego przyjaźń i szlachetność.

Uścisnął mi tak silnie rękę, że aż syknąłem z bólu, mrucząc coś pod nosem. Wydawał się bardzo zadowolony z ośmiodniowych wakacyi. Dalton zaś, patrząc na mnie, uśmiechał się.

Zwierzył mi przedtem — a teraz uwierzyłem w to bezsprzecznie, że nic więcej o sprawie nie wiedział odemnie. Nie niepokoił się jednak tym brakiem wiadomości, bo ufał Igginsowi. Któż zresztą mógłby mu nie ufać, patrząc na tę twarz energiczną, uśmiechniętą jowialnie.

Spotkanie z Igginsem miało miejsce u Daltona, u którego byłem na śniadaniu. Po ośmiu dniach milczenia zapowiedział lakonicznym biletem swoje przyjście.

Teraz siedział naprzeciwko mnie, popijał whisky i palił fajkę, patrząc na nas.

Czekaliśmy niecierpliwie, aż przemówi.

Czekaliśmy dosyć długo. Iggins wypalił fajkę, wypił parę szklanek i kiedy już butelka, stojąca przed nim, zupełnie opróżnioną została, odsunął się od stolika, skrzyżował ręce, wyciągnął nogi i rzucił przez zęby:

— Tak! tak.

Przyjęliśmy w milczeniu ten pierwszy jego odruch.

— Nie chce się wam mówić, chłopcy? — wyrzekł Iggins.

Milczeliśmy.

Iggins gwizdnął. Dalton uśmiechał się dobrodusznie.
— Odbyłem małą podróż — rzucił Iggins.
— Dla sprawy? zapytał Dalton.
— Tak.
— Rezultat jest?
— Nie!
— A więc?
— Hipotezy.
Dalton skrzywił się.
— Ufności! rzucił Iggins.
Dalton potrząsnął głową.
— Przekonam cię.
— Jak?
— Rozumowaniem.
— Czekam.
— Pojutrze.
— Jeszcze czekać! westchnął Dalton. Dlaczego dopiero pojutrze.
— Tak być musi. Zwołałem małego sędziego i wszystkich.
— Gdzie?
— Do gabinetu małego sędziego.
— Więc jeszcze przesłuchanie? — zawołał Dalton. — Przecież śledztwo już skończone.
— Tak jednak będzie, mój chłopcze — wyrzekł Iggins powstając i kładąc ciężką swoją rękę na ramieniu Daltona. — Pojutrze odbędzie ostatnie zebranie w Pałacu sprawiedliwości. Byłem u sędziego. Wymogłem na nim, że Jerzy Dambleuse, René Dambleuse, panna de Beaumont, Zaklina Dubois, która powróciła już z Włoch? - nie wiedziałeś o tem Vollorbe — zwrócił się do mnie — żona Markasa, siostra tej małej dziewczynki — wszyscy koniecznie tam będą obecni.
— A potem?
— Potem, mój chłopcze, porozmawiam z nimi.
— A dalej... bo skoro nie macie nic konkretnego, tylko hipotezy...
— Dalej... nie będę Igginsem, jeżeli po tem zebraniu się wszystkich, nie rozjaśni nam się wszystkim w głowach.
— Dobrze, niechże tak będzie.
— Tak musi być — wyrzekł tajemniczo Iggins.
— Sądziłem, że panna de Beaumont przebywa w jakimś klasztorze w Anglii — odezwałem się.
— Chciała się tam udać, ale nie mogła. Zachorowała. Jakaś gorączka bardzo silna. Teraz jest już na drodze wyzdrowienia.
— I przystała na spotkanie się z Jerzym Dambleuse.
— Przystała.
— I sędzia również zgodził się na tą próbę?
— Zgodził się.
— I cóż wy zamierzacie mi powiedzieć, Iggins — zapytałem z zaciekawieniem.
— Niewiem jeszcze. Muszę się przedtem dobrze wyspać, aby mieć myśli jaśniejsze, mój chłopcze, Dobranoc. — Iggins wyrzekłszy to udał się spokojnie na spoczynek pozostawiając mnie z Daltonem pod wrażeniem najwyższego zdumienia i zaciekawienia.

Nazajutrz otrzymałem od sędziego śledczego, oficyalne wezwanie, stawienia się w jego gabinecie o godzinie trzeciej. Iggins więc nie skłamał. Mały sędzia przyjął jego propozycyę i zainteresował się nią. Jakimi środkami posłużył się Iggins, aby doprowadzić do tego niecodziennego rezultatu? Jakich argumentów użył. Doprawdy, dosyć to było tajemniczem.

Dnia tego jadłem śniadanie w towarzystwie Daltona, który był w okropnym humorze. Niecierpliwość odbierała nam apetyt; nie wiedzieliśmy czem zabić czas do godziny trzeciej. Około w pół do trzeciej wsiedliśmy nareszcie do auta. Nie wiodło się nam jednak jakoś. Na rogu Hal, auto nasze przewróciło jakąś kobietę. Musieliśmy parlamentować z policyantem, wysiadać, przenosić kobietę do apteki, dla przekonania się czy nie miała jakich większych uszkodzeń. Straciliśmy dużo czasu i przybyliśmy z opóźnieniem W gabinecie pana Giroux zastaliśmy już wszystkich zawezwanych. Czekano tylko na nas.

Byłem bardzo wzruszony, sam niewiem z jakiej przyczyny. Czyżbym się spodziewał intuicyjnie jakiegoś ważnego odkrycia? Przecież Iggins nie mógł nam uczynić żadnego odkrycia decydują. cego, skoro sam dotąd błądził jeszcze w dedukcyach i przypuszczeniach!

A jednakże! jakiś prąd nadziei i ufności wstąpił we mnie, przyspieszając uderzenia serca.

Nie zapomnę nigdy, tej wzruszającej, przekonywującej sceny, a właściwie misternej inscenizacyi Igginsa, która rozwinęła się przed naszemi oczami.

Pan sędzia Giroux siedział tyłem do światła, bo tak wypadało było uczynić chcąc się niesprzeniewierzyć tradycyom dobrego sędziego śledczego.

Wydawał się śmieszniejszym, mniejszym jeszcze, niż kiedy widziałem go po raz ostatni — utopiony zupełnie w olbrzymim fotelu o wysokiem oparciu.

Po prawej jego stronie siedziała panna de Beaumont, ubrana czarno. Zaledwie poznać ją mogłem, tak była blada, wychudzona, zmieniona wyrazem smutku i rozpaczy bijącej z całej jej postaci. Wpatrzona była w Jerzego Dambleuse i łzy bez przerwy spływały po jej twarzy.

Po lewej stronie sędziego, ujrzałem siostrę małej Laplanche w kapeluszu olbrzymim ze strusimi piórami, ładną zawsze, lecz z wyrazem bezdennej głupoty w rysach twarzy. Obok niej, pani Markas siedziała. godna, poważna, ocierając oczy dużą chustką w kraty.

Iggins siedział w pełnem świetle, przy drzwiach, wygodnie rozłożony w niskim, dużym fotelu, z skrzyżowanemi nogami. Bębnił palcami po poręczy fotela wpatrując się uporczywie w Jerzego Dambleuse i jego ojca, znajdujących się naprzeciw niego.

Spojrzałem ciekawie na Jerzego Dambleuse.

Nie zmienił się prawie odkąd go widziałem. Zauważyłem tylko, że włosy na skroniach lekko mu zbielały. Jakąż siłę posiadać musiał ten człowiek, na którego tyle ciosów zwaliło się, nie mogąc go osłabić i upokorzyć? Twarz jego zawsze była jednakowo zimna, pogardliwa i spokojna - w oczach wyraz zupełnej, świadomej rezygnacyi. Obok niego stary Dambleuse skulony na swojem krześle, owinięty płaszczem, wydawał się roztargniony, daleki, obcy temu co się koło niego działo. Zauważyłem w końcu Zaklinę Dubois, siedzącą obok Igginsa. Jakże piękna i pociągająca była ta kobieta!

— Panie Iggins — zabrzmiał w tej chwili poważny głos sędziego Giroux — słuchamy pana.

Pierwsza zbrodnia.

Iggins poprawił się w fotelu, rozkrzyżował nogi i mówić zaczął.

Gdybym żył sto lat nie zapomnę tej jego przemowy.

Nauczyłem się cenić i kochać tego człowieka, ale dopiero teraz poznałem kim on jest właściwie.

Przemowa Igginsa była brutalna, prosta i logiczna.

Mówił, krótkiemi zdaniami, zwartemi, ciężkiemi jak żelazo akcentując ważniejsze momenty, energicznym ruchem ręki, którą wznosił do góry jak kaznodzieja, lub mowca z trybuny.

Słuchaliśmy wszyscy w poważnem skupieniu, nawet ten straszny mały sędzia pan Giroux, którego Iggins nie zważając na formy, przez cały czas przemówienia, uparcie nazywał „moim chłopcem".

— Sądzę — rozpoczął — że już nadszedł czas najwyższy, do ostatecznego zbadania tajemnicy, nazwanej przez opinię publiczną „trzema zbrodniami". Skoro na to zezwalasz, mój chłopcze — zaczynam.

— Przejrzymy fakta początkowe. Znaleziono jednego dnia w willi „Bzów" niedaleko Rainey, trzy trupy. Czy tak? Senatora Poivrier, córki jego, pani de Beaumont i nieznajomego. Wszystkie te trzy trupy naznaczone były ranami w głowę, otrzymanemi od kul rewolwerowych, różnorodnego kalibru. Poza tem, senator Poivrier otrzymał głęboką, ciętą ranę w szyję. Poderżnięto mu gardło szeroką brzytwą, która przecięła najgłówniejsze dwie arterye.

Oto, wobec jakich faktów stanęliśmy. Oczywiście w pierwszych dniach błądziliśmy wszyscy w mylnych przypuszczeniach i poszukiwaniach i nie znaleźliśmy nic zgoła. To było do przewidzenia. Gdyby odkrycie tej sprawy, przyszło było od razu bez trudu, szkodaby było wszystkich wysiłków naszych i zdolności. Zbrodnia byłaby banalna a mamy przed sobą zbrodnie ciekawe, to co nazywamy po naszemu „zbrodnię piękną".

Zanalizujmy teraz charakter tych naprawdę pięknych zbrodni!

Główną cechą tych pierwszych zbrodni, jest zapoczątkowanie zbrodni innych. Jest przyczyną i rezultatem wypadków innych, które pociągnęły za sobą cały szereg innych zbrodni.

— Sądzi więc pan — przerwał sędzia, że te wszystkie zbrodnie łączą się ze sobą.

— Tak — ale nie sądzę, tylko wiem na pewno, i zaraz to udowodnię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

EMIL PESCHKAU.

PIEGI.

(Dokończenie).

Naprzód! Rosy jest cały ocean. Na liściach perliły się srebrzyste łzy, a trawa była do tego stopnia mokra, że Anulka z zimna poczęła się trząść. Obmyła twarzyczkę od rannego chłodu tak zaczerwienioną, że nikt nie dostrzegłby z pewnością nieznośnych plam. Urwała brzozową gałązkę i nuże na dół. Jakże ładnie roz wijały się drzewa i jak łaskawie spoglądała na nią Najświętsza Panienka, stojąca tuż przy drodze! Uklękła i szeptała paciorek. Czy to nie grzech, co czyni, czy to nie bezrozumna igraszka. Lecz Madonna z łaskawym, jak zawsze, uśmiechem spoglądała na dziewczynkę, która na klęczkach zasyłała ku niej błagalne spojrzenia.

Po chwili wstała i wahając się postąpiła kilka kroków naprzód. Tu rozdzielały się ścieżyny, z tych jedna prowadziła do wsi, druga do głównej drogi. Już chciała pójść pierwszą, gdy w tem dały się słyszeć kroki. Zadrżała i schowała się szybko za potężnym dębem. Bez chu stała tam, śledząc i nadsłuchując. Niebawem dojrzała wysmukłego młodzieńca, wychodzącego pod górę wązką ścieżyną, a młodzieńcem tym był Robert. Serce zabiło jej żwawiej, purpurowy rumieniec oblał policzki — — — — Robert był pierwszym mężczyzną, jakiego spotyka, a że jest ładnym, to widoczne. Ze złocistym puszkiem na licach i z miłemi, ciemnemi oczyma wcale jest mu do twarzy. — — — — Lecz że to on, on właśnie — — — Lecz owszem, to będzie najlepsza zemsta. Opatrzność tak zrządziła; o jakże jej za to dziękowała! I jak szczęśliwą była teraz!... Zdecydowana wystąpiła szybko z poza drzewa i nim jeszcze Robert zdołał otworzyć usta, pocałowała go. Pochwycił ją w objęcia i w czasie, gdy starała się uwolnić spojrzał jej oko w oko i wykrzyknął:

— Więc kochasz mię, najdroższa!

Lecz ona wyrwała się wreszcie i jak płochliwa sarna pobiegła do lasu...

— Wię mię kochasz, najdroższa! Te słowa brzmiały jej w uszach, podczas gdy biegła po wilgotnym mchu. Co to ma znaczyć? Czyżby ją kochał? A ona — dlaczego ją tak palą wargi i lica? Zaiste to nie był całus, o jakim stara Marysia mówiła. — — A co on sobie teraz myśli o niej? Ze wstydu schowałaby się w mysią dziurę. Trzeba go zaraz odszukać i wszystko mu objaśnić, aby jej nie miał za bezwstydną. Co ona uczyniła, jaka moc pchnęła ją do tego szaleństwa.

Dogoniła go jeszcze na drodze i wyspowiadała się ze wszystkiego. W Kilka minut później siedzieli na wieży i dopowiadali sobie resztę. Lecz Anulka dopiero wtedy całkowicie uspokoiła się, gdy Robert wyznał, że konceptu o piegach użył jedynie dlatego, aby odwrócić ciekawość Franciszka, ponieważ nie lubi nikomu powierzać tajemnic serca. Skoro następnie zobaczył, że ona traktuje go zimno, odszedł z głębokim smutkiem, postanawiając zapomnieć o wszystkiem. Lecz serce nie sługa, wrócił więc, aby się jej spytać, czy może być mu wzajemną, czy nie.

Tu koniec całej historyi. Środek starej Marysi zawiódł, bo pani Robertowa do dnia dzisiejszego ma piegi, które mąż jednak uważa za największą jej ozdobę. Lecz Marysia broni się tem, iż ów pocałunek nie był zimnym i obojętnym, — a pocałunki miłosne, powtarza pogardliwie wzruszając ramionami — nie są środkiem sympatycznym.

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

19)

O, tak... przywykł już do rzeczy straszniejszych, a tak mu się w tej chwili zrobiło strasznie w tym lesie.

Zaniepokojony, jął się rozglądać. Ale nic się nie zmieniało. Wszędzie ciemnia jednaka.

Nie! nie jednaka... Tam coś błyska... coś świeci w ciemności...

Wpatrzył się... rozpoznał... i naraz zerwawszy się z miejsca, rzucił gwałtownie w stronę automobilu.

Wskoczył do środka, drzwiczki zatrzasnął mocno. Nachylił się nad Jankiem, oburącz chwycił śpiącego za ramiona, wstrząsnął niemi z całej siły, a zbudziwszy młodzieńca do przytomności, odwrócił jego głowę w lewo.

— Widzisz te ślepia? — spytał.

Janek wzrok przed siebie wytężył i krzyknął:

— Wilki!

Motor zaturkotał, auto zatrzęsło się w miejscu, ruszyło i pomknęło przed siebie jak wicher.

XVII.

Jak strasznie głód ludziom tu dokuczał, jak się z nim musieli męczyć okrutnie, kiedy się zdarzało, że matka własne dziecko rzucała pod automobil Alferowa, by ulżyć cierpieniom dziecka i swoim.

I raz nad rzeką natknęli się na chwilę, gdy matka dzieci śpiące rzucała w nurty wody.

I jeszcze straszniejsze słyszeli rzeczy, gdy zatrzymawszy się, rozmawiali z tymi cieniami ludzkimi, co się po drogach włóczyły, szukając jedzenia, czekając zmiłowania, wyglądając końca. Jedni umieli rozpaczać głośno... tragicznie. Drudzy żalili sią zcicha... z rezygnacyę.

Ale najczęściej trafiano na zupełną apatyę, na obojętność, której było wszystko jedno: czy przyjdzie pomoc, ocalenie... czyli śmierć wszystko skończy.

Iza wielkie zielone oczy wypatrywała wszędzie i chłonęła wszystko, co widziała po drodze. Jej uwadze nie uszła żadna scena.

Ona wszystko spostrzegła, a spostrzegłszy. odczuła... i przeżyła w sobie każdy ból cudzy... pojedynczy i zbiorowy. Odczuwszy go zaś, wyciągała ręce duszy w przestrzeń, by się połączyć z Edwardem, by się zamienić w nieuchwytną pieśń Zygmunta... i płynąć ponad padołem bolów ludzkich... i dźwiękiem tej pieśni koić serca w męce.

A nadewszystko z serca swego o każdej godzinie wysyłała anioła, któryby zapobiegł nieszczęściu, gdzie się da... gdzie na to pozwoli...

Kto pozwoli?...

Kto ma pozwolić dopiero, by anioł mego serca uratował od katastrofy czyjeś życie?

Dlaczego nie wolno mu iść wszędzie, gdzie zapragnie?

Dlaczego po tylekroć na jego drodze staje ktoś, kto mu zabrania... kto mu przeszkadza... kto mu nie da rozwinąć białych skrzydeł, coby mogły osłonić, ochronić... lecz je krępuje, odpycha, zagradza drogę sobą...

Kto on?... rzucała Iza pytanie, mknąc autem wśród kurzawy.

A za nią leciał wieczyście jakiś chichot,, w którym zdawała się słyszeć śmiech szatański.

Ot, choćby tam... w tej chwili... widzi płonące zdaleka chaty... wyciąga ręce przed siebie.., chce wykrzesać z serca moc cudowną, któraby w zarodku stłumić zdołała pożogę.

I nie może.

Ręce opadły bezsilnie, głowa chyli się smutnie na piersi... Żal nią ogarnia.

Dlaczego tylko czasem wolno nam, Edwardzie, ocalić od złego? Dlaczego nie zawsze?...

Automobil wpadł w wieś płonącą.

— Co to znaczy? nigdzie ludzi!

— Nikt nie ratuje.

— Ach, to wieś opuszczona... Widocznie głodni wyszli w świat szukać ratunku.

— Ale skąd ten pożar? wszak to rozmyślnie podpalane zagrody.

Trudno było oddychać. Straszny swąd mięszał się z gryzącym dymem, co się słał nisko po drogach.

Jechali wolno, przyglądając się, jak tu i ówdzie chata zamieniała się powoli w gorejącą pochodnię. Nie było wiatru. Ogień się nie przerzucał z jednej zagrody na drugą.

— Ktoś podpala rozmyślnie.

— Ależ tam są ludzie w środku.

— Krzyk słychać!

— I tam...

— Tam także...

— A drzwi zatarasowane... zabarykadowane wejścia... pozatykane okna..,

Wszędzie krzyki ludzkie... płacz... jęki dzieci.

— Tu trzeba iść próbować ratować!

Lecz zaledwie auto przystanęło i wędrowcy zaczęli wysiadać, gdy z za węgła wypadła ku nim kobieta naga, z ogromną żagwią płonącą, i jak furya przyskoczywszy, ryknęła głosem dzikim:

— Precz stąd, precz, bo wam oczy oślepię!

Próbowano jechać powoli dalej, lecz wiedźma pobiegła za maszyną, grożąc żagwią.

Trzeba było biegu przyspieszać, trzeba było przed nią uciekać, bo jeszcze kamienie podejmowała z drogi i w ślad za odjeżdżającymi ciskała w szale.

Samochód minął wieś, gdy naraz spostrzeżono, że jakaś dziewczyna, wyskoczywszy oknem z chaty jeszcze nie płonącej, chroni się przed pościgiem starca.

Iza dotknęła ręką ramienia Alferowa:

— To ona, Julianie.

— Kto?

— Córka Piotra.

Wyskoczył Alferow z auta i zabiegł drogę dziewczynie. Ów starzec, który ją gonił, porwał drąg w rękę i zamierzył się, lecz Alferow już zdążył dziewczynę ocalić.

— Ja nie chcę — krzyczała — z nimi umierać. Ja chcę żyć jeszcze... Ja jeszcze potrafię pójść w świat szukać chleba... Oni się w chatach zamykają... a po tem podpalają... Chcą razem wszyscy ginąć... bo już żyć tak nie mogą... A ja nie chcę...

Przywiódł Alferow słaniającą się z bezsilności piękną młodą dziewczynę do automobilu, a Janek dźwignął ją z ziemi do wnętrza i posadził przy sobie.

W tem Marya właśnie docuciła Piotra, którego woń płonącego ciała ludzkiego, tam we wsi podpalonej zwaliła z nóg w mdłościach.

Nelin otwarł oczy, rozejrzał się.

Wielką pożogę mieli już za sobą. Samojazd stał na krańcu wsi, nieopodal kilku jeszcze chat nietkniętych ogniem.

— Co to? — bąkał — kto to?

I wracając do przytomności, wpatrzył się w siedzącą przed nim dziewczynę.

— Kto to?

A na to Iza, nachyliwszy się nad nim, szepnęła;

— Córka twoja, Piotrze.

I z tem ruszyli z miejsca.

Posilono dziewczynę, lecz nie dała się uwieźć dalej, jak do następnej wsi. Chciał Piotr zabrać ją z sobą, ale wręcz mu oświadczyła, że dalej nie pojedzie — i wysiadła.

Tam mieszkał mężczyzna, którego dziewczyna pokochała. Leżał chory na tyfus.

— Kocham go — powtarzała — i nie mogę opuścić... Bóg w m zapłać, żeście mi życie uratowali. Może ja jemu żyć pomogę.

Przepadła, automobil zaś puścił sie pędem dalej, ujrzawszy z daleka na koniach oddział wojska.

Byli już bardzo daleko pośród niezmierzonego pustkowia, gdy zatrzymali się dla wypoczynku.

Piotr z Julianem przechadzali się na uboczu i rozmawiali na temat swoich dzieci.

— Gdybyś wiedział, Piotrze, jak mi wstyd było przed Klaudyą... myśleć o Janku, od chwili, gdy mnie Iza upewniła, że to mój syn... Poprostu wstydziłem się swego grzechu młodości.

Piotr był pod silnem wrażeniem niedawnej sceny.

— I popatrz... taką dziewczynę mogłem w życiu spotkać... i nigdybym nie przeczuł, że mam do czynienia z rodzoną córką.

— Tak... to są potem skutki... Jedna chwila... krew zakipi... i z tego oparu krwi wstaje widmo, które czasem może cię nękać przez resztę życia.

Podeszła ku nim Marya i pytała:

— Możeby jeszcze wrócić, a próbować uwieźć dziewczynę.., ocalić...

Lecz Iza zadecydowała, że na to tylko we właściwej chwili zjawili się tam, by ją wyrwać śmierci.

— Odtąd możemy nie lękać się o nią... Żyć będzie... Edi mnie zapewnia, że jej już przestało grozić niebezpieczeństwo.

Wtedy Piotr w obie dłonie ujął rękę Izy, podniósł ją do swoich ust i namiętnie całując powtarzał:

— Dziękuję ci za nią... jeszcze raz dziękuję ci za nią... ty wybawicielko moja... ty jej zbawczyni...

I pełne błysków oczy swoje zatopił w zielonej toni jej oczu.

Długą chwilę tak stali, a przez ten czas z pod ciemnych brwi Maryi dźwigały się, jak w kniei leśnej z pęcza się rozchylające, fiołki... i coraz większą mgłą zachodziły łzawej rosy...

XVIII.

Droga stawała się coraz gorsza, zwłaszcza, że automobil starał się właśnie drogi unikać i szukał bezdroży, byle jadąc dalej, nie natknąć się na siedziby władz czerwonych i ich ajentów, siecią organizacyi szpiegowskich zasnuwających nawet po zapadłych kątach nieznaczne osady ludzkie.

— Jak tu dalej jechać po tych wybojach?

Wprawdzie dotychczas młody mechanik cudów bokazywał ze znakomitą maszyną, ale przecież tembardziej należało ją szanować i nie narażać na zepsucie.

Kiedy tak raz utknęła wśród nocy na bezdrożu, Piotr, czuwając między śpiącymi, zaczął się zastanawiać nad losem swego narodu, nad nieszczęściem swej ojczyzny.

— Co będzie dalej?

Po drodze widzieli, że straszna gospodarka garstki zbójów-tyranów zagasiła ostatnie piece przemysłu, zamknęła ostatnie targi handlu: administracya ich doprowadziła do tego, że wszystko, co z trudem na rozległe przestrzenie państwa wprowadziła cywilizacya, dziś zamiera, bo na to, by żyło, potrzeba inteligencyi.

Inteligencyę zaś — dzicy terroryści wymordowali, zamknęli w więzieniach i obozach koncentracyjnych, i z trudem próbują zastąpić jej pracę nieudolną robotą niepiśmiennego chama.

— Co będzie dalej?

Głód i zaraza niszczy naród gorzej niż wojna. Całe pokolenie wymrze, jeśli dalej szerzyć się będzie ten pomór.

A jednak...

Przecież ten naród, to olbrzym! przecież ten naród, to tyle milionów — iż garść tyranów winnaby pierzchnąć przed tą legią nieprzeliczoną...

Gdyby ten naród drgnął... ruszył się... i jak lawina potoczył, by rozwalić... w puch roznieść twierdzę terroru...

Zaczęło się snuć po głowie Piotra jakieś gigantyczne rozmiarami powstanie ludu.

Widział rozgorączkowanem okiem wielkie zwycięstwo — i potworną klęskę tej czeredy, co się dziś nad jego narodem znęca bez miłosierdzia.

Naraz zatrzymał swoje myśli.

— Kto ma być zwycięscą? Kto?! — pytał.

— Te miliony ciemnych niewolników, dające się batem tyrańskim zapędzić do czarnych robót?

— Kto ma tryumfować?

— Ten owrzodziały... robactwem toczony trup... pół żywy?!

Rozpacz ogarnęła Nelina.

— Więc niema wyjścia?!

— Bezdroże wśród nocy ciemnej.

Idzie dżuma... jeszcze gorsza od cholery... i zatruwa do reszty duszę milionów ludzkich... Dżuma, jakiej świat nie widział.. Zaraza przez dyabły w piekle przygotowana na zmarnowanie ludzkości cywilizowanej.

— Kto stanie murem i resztę świata odgrodzi od krajów zapowietrzonych?

— Kto znajdzie tyle siły, by wznieść potężne tamy dla odparcia tej nawały... dla zatrzymania tego zalewu?

— Więc cała ludzkość zagrożona i niema narodu, któryby ją ocalił...

— Człowieka brak! człowieka brak!

Jakieś morze bałwaniące się wściekle szumiało w mózgu Piotra Nelina.

Były chwile, że ten huk rozbijających się o skały fal kosmicznych — uciszał się. A wtedy mózg wypełniały na krótko harmonijne dźwięki, jak organ potężne, Zygmuntową muzykę żywo mu przypominające...

Lecz zaledwie wsłuchał się w nie duszą, zrywała się nad nią wielka wichura i znowu wszystko zatapiał groźny szum mórz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Szczęśliwie przebyliśmy pierwszą połowę miesiąca sierpnia, a o owych siedmdziesięciu wulkanach, jakie miały wyrosnąć obok Budapesztu, niczem grzyby po deszczu, jakoś nic nie słychać, zaczyna zatem wstępować nadzieja w serce, że owa przepowiednia amerykańska spełni się w ten sam sposób, która straszyła nas w roku 1918 dziurą w słońcu, gdzie pewnego dnia miała się znaleźć ziemia, oczywiście zupełnie niepotrzebnie, bo nawet zimową porą nie należy do przyjemności obudzić się pewnego pięknego poranka w ognistej czeluści. Gdyby nawet owe amerykańskie wulkany miały powstać na Węgrzech, to chyba nie w jednym dniu, w najgorszym zatem wypadku nie będzie tak źle, aby ich miało być aż siedmdziesiąt. Z drugiej jednak strony należy wyrazić żal, jeśli skończy się na niczem, siedmdziesiąt bowiem takich naturalnych piecyków przyczyniłoby się wybitnie do ogrzania powietrza, z czego i my odnieślibyśmy pewną korzyść, a cena węgli, zamiast iść w górę, niezawodnie poczęłaby się obniżać. Włochy posiadają tylko dwa wulkany, z tych jeden czynny, a drugi przeważnie tylko kopcący, a przecież tamtejsi mieszkańcy nie zaprzątają sobie nigdy głowy kwestyą węglową.

Przyjąć zatem należy owe groźne przepowiednie amerykańskie za wymysł kanikularny, weszliśmy bowiem w całej pełni w sezon polowań na kaczki dziennikarskie, nadciągające do nas z różnych stron, głównie zaś z Ameryki. Niedawno jedno z naszych pism codziennych przyniosło senzacyjną wiadomość, iż pewna amerykańska dziesięcioletnia dziewuszka obdarzyła świat zupełnie zdrowym potomkiem, ważącym dokładnie siedm i pół funta, co w tamtejszych kołach naukowych miało wywołać ogromną sensacyę i stać się przyczyną formalnych pielgrzymek różnych uczonych do łoża szczęśliwej, a tak młodej matki. Szkoda tylko, że nie dowiedzieliśmy się bliżej, w jakim wieku był ów noworodek, przypominamy sobie bowiem, że przed laty czytaliśmy w pewnem piśmie o cudownem przyjściu na świat trzy lata już liczącego dziecka. W epoce przerabiania kur na koguty, maszynek do wlewania rozumu do głowy w czasie snu, rodzenia się dzieci w retortach chemicznych, węgów połykających ludzi i cieląt, nosorożców z nad Nidy i innych podobnych osobliwości nie byłoby to chyba niczem dziwnem.

Za kaczkę dziennikarską, lecz już domowego chowu, uważamy także wiadomość, że magistrat krakowski zdecydował się nareszcie wydelegować komisyę, mającą na celu zbadanie stosunków w naszych restauracyach, kawiarniach i tym podobnych zakładach, gdzie panują stosunki prawdziwie azyatyckie, o ile to dotyczy przestrzegania przepisów hygieny. O tyle energii naszej władzy politycznej pierwszej instancyi nie posądzalibyśmy nigdy, nie wątpimy jednak, że jest to tylko pogłoską wyssaną z palca, magistrat bowiem nie zechce się z pewnością narażać osobom, posiadającym tak szerokie wpływy w mieście, jak ci panowie, którzy na naszem zdrowiu i żołądkach robią miliardowe fortuny i narzekają jeszcze, że źle się im wiedzie. Zupełnie słusznie się mówi „sztuka kucharska“, gdyż to co nam podają w przeważnej części w naszej jadłodajni jest w samej rzeczy wytworem sztuki. Niedawno zdarzyło nam się spotkać w takim lokalu, uchodzącym za jeden ze solidniejszych, z siekanym szczypiorem cielęcym, usmażonym na tak doskonałem masełku, iż przez dwa dni z rzędu nie można było niczem zgubić przyjemnego smaku, jaki po sobie zostawił. Tłuszcze, używane do przyrządzania potraw przez naszych restauratorów są wogóle tak pierwszorzędnej jakości, iż porównać je można chyba ze smarowidłem do kół wozu, a porównanie to wyjdzie zawsze na korzyść smarowidła.

Za smakołyk miniaturowych rozmiarów, leżący jednak w żołądku całymi tygodniami, zpreparowany w sposób wiadomy tylko kucharzowi, płaci się takie ceny, iż wogóle odchodzi człowieka chęć od jedzenia. Istnieje podobno jakiś cennik zatwierdzony przez władze, którego niby to przekraczać nie wolno, nikt jednak nieośmieli się reagować na aż nazbyt widoczne nieraz zdzierstwo restauracyjne i zagrozić Urzędem walki z lichwą, aby nie usłyszeć:

— To niech pan łaskawy idzie do tego urzędu, gdy się panu jeść zachce, a może się pan tam pożywi, gdyż my i przy tych cenach nie wychodzimy na swoje!...

Owe cenniki, wydawane przez władze, do tego powołane, są jedynie mydleniem oczu opinii publicznej i niepotrzebnem psuciem papieru oraz zabieraniem czasu urzędnikom, łamiącym sobie głowę nad ich ustaleniem. Dziad swoje, a baba swoje. Cennik swoje, a kupiec lub restaurator kalkuluje ceny tak, jak mu się żywnie podoba. Czytaliśmy niedawno, że kilogram szynki ma kosztować coś nie wiele ponad tysiąc sześćset marek, popularna tak u nas kiełbasa jest o wiele tańsza. Tak jednak, powiada cennik, masarz zaś każe sobie za nią płacić obecnie dwa tysiące marek, na zwróconą mu zaś uwagę odpowiada, że cennik dotyczy tylko kiełbas zwyczajnych, ta zaś jest nadzwyczajna, a gdy ktoś poprosi o zwyczajną, dowie się, że się takich dzisiaj nie wyrabia. Nic w tem zresztą i dziwnego, skoro czasy są nadzwyczajne, nadzwyczajne muszą być i kiełbasy. Ale nie tylko one są nadzwyczajne, takim bowiem jest i chleb, który jak gdyby na urągowisko, że się przednowek skończył, podrożał w ostatnim tygodniu i bardzo znacznie.

Ponieważ jednak mamy obecnie wakacye, takimi drobiazgami nikt się zajmować nie będzie, na to czas później, gdy za kilogram chleba płacić się będzie musiało dziesięć tysięcy marek, za kilogram kiełbasy zaś sto tysięcy. O czasy te zodobno już nie dalekie i prędzej się ich doczekamy, niż wybuchu owych amerykańskich wulkanów pod Budapesztem.

Panowie masarze, jak gdyby przypuszczali, że kronikarz zajmie się tą sprawą w tym tygodniu, akurat w chwili, gdy to pisaliśmy, bo w piątek ubiegłego tygodnia urządzili nam niespodziankę, z ich sklepów zniknęły bowiem, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszelkie wędliny, co ma być dowodem, że trudno im nawet po bajońskich cenach zaopatrzyć się w towar, gdyż wywozi się go poza granice kraju. Była to przygrywka do nowej podwyżki cen. Byli o tyle na nas łaskawi, iż wybrali dzień piątkowy, który jest dniem postu. Czy oni jednak mówią prawdę, mógłby się o tem przekonać magistrat zaglądając do ich magazynów i piwnic, czego jednak nie czyni, z obawy, aby się im nie narazić, jest to bowiem kasta potężniejsza nawet od restauratorów i kawiarzy, a w sferach radzieckich cieszącą się ogromnem poparciem.

W ślad za temi podwyżkami artykułów spożywczych drożeje też wszystko inne. Przełożeństwo Cechu krawieckiego rozesłało w tych dniach list pasterski do swych członków, z zawiadomieniem ich, aby w lokalu cechowym zgłaszali się po urzędowy dokument, którym mają się wykazywać wobec klienteli, iż wobec podniesienia o piętnaście procent wynagrodzeń pracowników krawieckich są upoważnieni do odpowiedniego podrożenia cen za ubrania. A ceny te doszły już do takiej wysokości, iż przeciętny śmiertelnik nie może nawet marzyć o sprawieniu sobie nowego okrycia dla cielesnej powłoki. Przekonał się o tem jeden z naszych znajomych, któremu artysta-krawiec zaśpiewał sześćdziesiąt tysięcy marek za garnitur marynarkowy. Krawiec, podając tę cenę, śpiewał bardzo cienko, aby klienta nie przestraszyć, ten jeszcze cieniej, dochodząc do przekonania, że, chcąc mieć ubranie, musiałby się wyrzec jedzenia i mieszkania. Gdyby nie zbliżająca się zima, projekt podany niedawno przez *Kuryerka*, aby utworzyć u nas „Ligę nagusów“, mógłby w tych warunkach liczyć na powodzenie, na czem zrobiliby doskonały interes wszyscy ci kupcy, którzy posiadają na składzie kostyumy kąpielowe, mieliby bowiem powód podwyższenia ich cen, rosnących u nas stale w miarę wzmagającego się zapotrzebowania.

Jednem słowem, życie nasze staje się coraz milszem i coraz znośniejszem, jak o tem świadczy wzrastająca stale rubryka samobójstw. Choćby kronikarz łamał sobie nie wiedzieć jak głowę nad tem, aby wynaleźć jakiś weselszy temat do swych rozmyślań tygodniowych, nie da rady, najlepsze bowiem chęci rozbijającą się o przykrą rzeczywistość, nie oszczędzają także ich samych, owszem, dającą się im we znaki może jeszcze bardziej dotkliwie, niż innym członkom „gołej demokracyi“. Doszliśmy do tego miłego położenia, że każdy z nas zmienił się w Jeremiasza, opłakującego wprawdzie nie zburzenie Jerozolimy, lecz spokoju domowego. Weronika woła ciągle: „Dawaj!...“, ale nie spyta się nigdy: „Czy masz na to?...“ albo: „Skąd weźmiesz?...“

Z tego powodu przychodzi też bardzo często do dość burzliwych scen domowych, w których atakującą stroną jest z zasady połowica, małżonek zaś utrzymuje się w defenzywie, a w razie bardziej popędliwego usposobienia swej lepszej połowy zmuszony jest niejednokrotnie szukać bezpiecznego schronienia w jakimś zacisznym odcinku najczęściej pod stołem. I. gdy rozindyczona pani domu woła gromkim głosem: „Wyłaź stamtąd!...“, ma bodaj tę satysfakcyę, iż może jej odpowiedzieć:

— Nie wylezę, bo mi się nie podoba... bodaj w ten sposób pokażę, że jestem panem domu i mogą robić na swoich śmieciach co mi się żywnie podoba, a nikt niema prawa narzucania mi swej woli!...

Smutne to ale prawdziwe, nie jeden z P. T. Czytelników bodaj w duchu przyzna kronikarzowi racyę, a wszystko to są miłe i dobroczynne następstwa światowej wojny, która miała z gruntu poprawić nasze stosunki.

Wobec tych wszystkich kłopotów, jakie stały się dla nas chlebem codziennym, nie dziwimy się też bynajmniej, iż dotąd nie spotkaliśmy się nigdzie z wiadomością o rozpoczęciu przygotowań do należytego uczczenia sześćdziesiątej rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Dzieli nas od niej zaledwie kilka miesięcy, byłby zatem czas najwyższy, aby pomyśleć o tem, a nie odkładać pracy na ostatnie dni, jak się to u nas zwykle praktykuje. Zawiązuje się naprędce komitet, w skład którego wchodzą jednostki, nie wiedzące same, poco je tam powołano, rej zaś wodzi i robi, co mu się podoba jaki pan lub pani, wobec czego cierpi na tem cała sprawa, a obchód sam, zamiast podniosłego wywiera wrażenie bardzo przykre. Jeźli zaś są sprawy, zasługujące na poważne traktowanie, to w pierwszym rzędzie zaliczyć do nich należy uczczenie tych bohaterów narodowych, którzy lat temu sześćdziesiąt chwycili za broń, sądząc, że nadeszła chwila wywalczenia Ojczyźnie wolności. Coraz mniej ich już między nami, ci zaś, którzy dożyją tej rocznicy, zasłużyli chyba na to, aby mogli patrzeć swemi dogasającemi oczyma, że wolny naród polski umie uznać i ocenić ich serdeczne, choć wówczas bezskuteczne wysiłki. Sześćdziesiąta rocznica wybuchu powstania styczniowego powinna w całym kraju, przedewszystkiem zaś w sercu Polski znaleźć należyty oddźwięk. Kłopoty codziennego życia muszą wobec niej zejść na drugi plan, należy dołożyć starań, aby obchód ten przybrał rozmiary wspaniałej manifestacyi narodowej, nie był zaś tylko jej parodyą, z czem dziś niestety, aż nazbyt często mamy sposobność się spotykać.

Jeźli się zważy jak u nas wszystko idzie żółwim krokiem, z jaką obojętnością spotykają się najszlachetniejsze porywy, nie od rzeczy będzie teraz już rozpocząć przygotowania i stale, choćby nawet natrętnie, nawoływać ogół, aby spełnił swój obowiązek w taki sposób jaki przystoi narodowi, uważającemu się za wielki. Nie wystarczy urządzenie nabożeństwa żałobnego za dusze poległych i jakiegoś odczytu, podczas którego sala świecić będzie pustkami, należy stworzyć coś takiego, co odpowiadałoby powadze chwili i służyć mogło jako dowód, że duch narodowy w społeczeństwie naszem nie wygasł, tleje gdzieś w głębi, ale potrafi, jeśli trzeba, wybuchnąć wielkim i jasnym płomieniem.

Urodzony w roku 1859 na Litwie, jako kilkoletni chłopczyk towarzyszył rodzicom swym na wygnanie do Kunguru, gdzie też rozbudziły się pierwsze iskry zamiłowania i talentu w przyszłym plastyku. Po powrocie z wygnania, wstąpił początkowo do Szkoły rysunkowej Gersona w Warszawie, później zaś do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Ukończywszy studya akademickie, początkowo pod kierunkiem Klodta, następnie Willewalda, Weyssenhoff wyjeżdża do Monachium i Paryża. Od roku 1905 przeważnie przebywa w kraju.

Z prac jego wyróżniły się szczególniej: „Cmentarz“, „Historya Handżara“, „Śnieg“, „Świt“, „Cisza“, „Tęsknota“, „Spleen“, „Przeczucie“, „Zmierzch“ i „Szron“.



Mistrzyni tennisa: Miss Lenglen w rozmowie z exkrólem portugalskim Manuelem i ks. Connaught na boisku tennisowem w Regent's Parku w Londynie.

Nowoczesna szkoła pracy na kresach.

(Do illustracyi na str. 4.)

W sto pięćdziesiątą rocznicę powstania Komisyi Edukacyjnej Ministerstwo W. R. i O. P. chcąc dać wyraz pamięci tak doniosłej dla potomności instytucyi poleciło zorganizować w całem państwie wystawy szkolne, których celem było zmierzenie postępu w nauczaniu od wymienionej chwili po dzień dzisiejszy, wykazanie ciągłości tradycyi narodowej w szkole, stwierdzenie dalszej ciągłości pracy w myśl szczytnych haseł i zasad Komisyi.

W powiecie stanisławowskim przystąpiono z zapałem do urządzenia wystawy, a ogólne zainteresowanie jakie obudziła w szerokich kołach społeczeństwa naszego jest miarą jej wartości.

Wartość tej wystawy podnosi jeszcze i ta okoliczność, że została ona urządzona zupełnie niespodzianie, w tym roku bowiem nie było zamiaru jej urządzenia, licząc się z trudnymi warunkami materyalnymi rodziców. Posługiwano się więc najtańszym materyałem technicznym przy nauce rysunków i wszelkiego rodzaju robót, ograniczając również pomoc naukową dla dziecka. Ta okoliczność wartość wystawy powiększa, bo jest ona wyrazem realnym i miara pracy sumiennej nie obliczonej na efekt z góry obmyślany.

Wystawę urządzono w siedmiu salach na I piętrze budynku szkoły im. Kr. Jadwigi, a wzięły w niej udział prawie wszystkie szkoły powiatu. Trudno wyliczać szczegółowo i chwalić z osobna poszczególne działy wystawy, wystarczy zaznaczyć, że wszystkie szkoły powiatu, tak miejskie jak wiejskie, wystąpiły z takim doborem i taką obfitością eksponatów, że poprostu wierzyć się nie chce, iż to wszystko jest dziełem niewprawnych jeszcze rąk, i że stanowi jedynie uboczną część i dopełnienie właściwego planu naukowego, który również w całej pełni został wyczerpany. Nowoczesna szkoła kształci teoretycznie, nie zapominając jednak o kierunku praktycznym i w tem jej wyższość nad poprzednimi systemami naukowymi. Sześć sal, zajętych na właściwą Wystawę szkolną, a gromadzących w sobie tak prace uczniów, jak i nauczycieli, idących w tym kierunku wspólnie ze sobą, to wymowne świadectwo pracy gorliwej i skutecznej tak nauczyciela, jak i dziatwy szkolnej. W siódmej sali zapoznaje się widz z rozwojem życia harcerskiego w powiecie stanisławowskim, a liczne prace harcerzy i harcerek oraz szereg fotografii z ich zajęć stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że idea harcerstwa silne tu już zapuściła korzenie.

Wystawa ta jak na obecnie ciężkie czasy przeszła wprost oczekiwanie, a zwiedzający ją tak licznie rodzice i opiekunowie naszej młodzieży i wojsko jakie w Stanisławowie załogą stoi przekonali się naocznie, że tak ciężko zapracowany grosz nie idzie na marne. — Porównując czasy przedwojenne z obecnymi należy zwrot ten w kierunku racyonalnego wychowania młodzieży nazwać bardzo pomyślnym, a przyzwyczajając od początku nasze młode pokolenie do takiej, a nie innej pracy możemy być pewni świetlanej przyszłości.

Urządzenie Wystawy szkolnej w Stanisławowie to zasługa Komitetu nauczycielskiego i jego przewodniczącego, inspektora szkolnego p. Wawrzyńca Furmankiewicza, którego umiejętnemu kierownictwu zawdzięczyć należy tak pomyślny rozwój szkolnictwa na naszych kresach. Stanisławowskie nauczycielstwo stwierdziło, że jest niem nie tylko z imienia ale i z powołania, że przyświecają mu najwznioślejsze ideały i chęć służenia ogólnej sprawie, wymagającej silnych a zdrowych podwalin.



Katastrofa kolejowa na drodze do Lourdes: Miejsce katastrofy, która wydarzyła się w dniu 1. sierpnia b. r.

Katastrofa kolejowa na drodze do Lourdes

Dla nas, znających Częstochowę i Kalwaryę, oraz ruch pątniczy z okazyi odbywających się tamże odpustów, dziwnym wydałby się widok, jaki





Niedziela w Anglii, a u nas: 1.) Lloyd George w drodze na swą zwykłą niedzielną „garden-party“. 2.) Lord Balfour (w środku) ze swoimi partnerami tennisowymi.

przedstawia słynne francuskie miejsce odpustowe, Lourdes, dokąd stale, przez rok cały, odbywają się prawdziwe wędrówki narodów. Spotyka się tutaj mieszkańców wszystkich części świata i przedstawicieli wszystkich ras, nie mówiąc już o ludności francuskiej i hiszpańskiej, zdążającej do Lourdes setkami tysięcy zwłaszcza na uroczystości Matki Boskiej.

Lourdes, miejscowość w departamencie Wyższych Pirenejów, starożytne Lapardum, liczy niewiele ponad pięć tysięcy mieszkańców, a położeniem swem w okolicy górzystej przypomina naszą Kalwaryę Zebrzydowską. Znajduje się tutaj cudowna grota, w której objawiła się Matka Boska, a woda ze źródełka ze skały wytryskającego, uważaną jest jako cudowny środek, leczący wszelkie słabości. Zwożą też do Lourdes cierpiących z najodleglejszych nawet stron, a dziwny widok przedstawia wówczas miejsce obok cudownej groty, zastawione setkami noszów, na których spoczywają cierpiący, szukający tutaj ratunku.

W dniu 1. sierpnia b. r. była droga kolejowa wiodąca do Lourdes widownią wielkiej katastrofy, której ofiarą stały się dwa pociągi, wiozące pątników. Wczesnym rankiem, po czwartej godzinie zaledwie, zdążały one, jeden po drugim, w przepisanym odstępie w stronę Lourdes. Między stacyami Miélan a Villecomtal pierwszy pociąg, wiozący około sześciuset pątników, miał już osiągnąć szczyt bardzo spadzistej w tem miejscu pochyłości, gdy zepsuło się urządzenie lokomotywy, a także hamulce odmówiły posłuszeństwa. Pociąg począł się staczać w tył z rosnącą coraz bardziej chyżością i wpadł na następny. Skutki zderzenia były straszne. Ostatnie wozy pierwszego pociągu naładowane pielgrzymami, oraz lokomotywa i pierwsze wozy drugiego uległy zdruzgotaniu, pod ich gruzami znalazło się kilkaset osób, z których dwadzieścia siedm poniosło śmierć na miejscu, pięćdziesiąt uległo cięższym i lżejszym okaleczeniom. Przy pomocy okolicznej ludności rozpoczęto akcyę ratunkową, nie długo potem przybyły także pociągi sanitarne z lekarzami i apteką. Wina katastrofy spada, jak się zdaje, na zarząd kolejowy, puszczający w ruch lokomotywy, z powodu stanu swego nie nadające się do tego celu.



Indochiny w Europie: Produkcye tancerek z Kambodży przed pawilonem indochińskim na Wystawie marsylskiej.

Niedziela w Anglii, a u nas.

(Do illustracyi na str. 9.)

Przd niedawnym czasem zastanawiały się pisma francuskie poważnie nad tem, jak szalona różnica zauważyć się daje w spędzaniu niedzieli przez Anglików i Francuzów. W Anglii jest niedziela przeznaczona na bezwzględny wypoczynek, nikomu ani przez myśl tam nie przejdzie zająć się jakąś zawodową pracą, nawet taką, jaką jest dla męża stanu występowanie oficyalne na rozmaitych uroczystościach. Tacy wielcy politycy, trzęsący losami całego świata, jak naprzykład Lloyd George lub Balfour, na niedzielę zmieniają się w zupełnie innych ludzi, zapominają o sześciodniowych kłopotach i problemach rozwiązania obecnej sytuacyi, a głowę ich zajmuje jedynie pytanie, „golf, czy tennis?...", są to bowiem zabawy sportowe ulubione przez starszych, jako nie wymagające zbyt wielkiego wytężenia i mogące być uważane w samej rzeczy za wytchnienie i rozrywkę. Równie punktualnie, jak w dzień powszedni w parlamencie lub swym gabinecie, jawi się angielski mąż stanu w niedzielę na boisku tennisowem, aby wziąć udział w *garden-party*.

We Francyi jest zupełnie inaczej, tam na niedzielę odkłada się rozmaitego rodzaju występy urzędowe, jak odsłonięcia pomników, obchody pa-



Zdemaskowany oszust: Rzekomy weteran napoleoński. Mikołaj, false Mieczysław, Krasiński vel Krasieński były rosyjski rewirowy.



Indochiny w Europie: Malownicza ulica anamicka na Wystawie kolonialnej w Marsylii.

tryotyczne, zjazdy i t. p., jawienie się na których nie jest wprawdzie pracą w ścisłem słowa tego znaczeniu, z wytchnieniem jednak i wypoczynkiem nie ma nic wspólnego, przeciwnie, nieraz bardziej męczy nawet niż zawodowa praca.

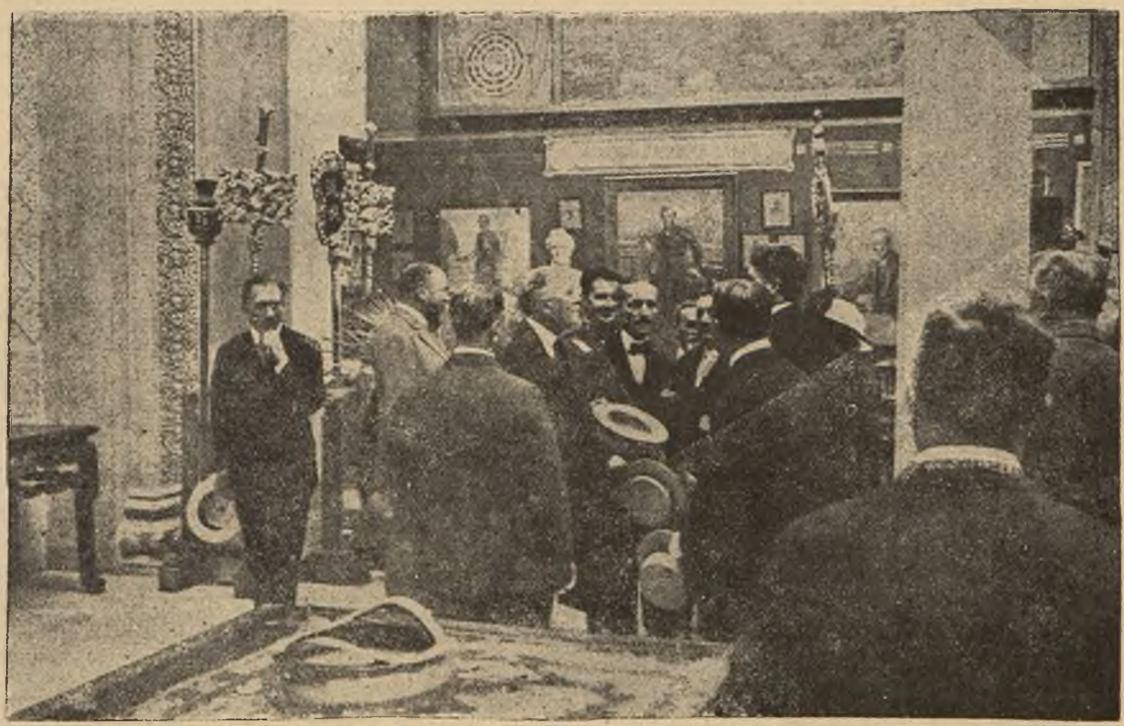
U nas jest zupełnie to samo, co we Francyi, o tyle nawet jeszcze gorzej, że dla bardzo wielu ludzi jedyną niedzielną rozrywką i rzekomem wytchnieniem jest kilkogodzinny pobyt, zamiast na świeżem powietrzu, w dusznej atmosferze restauracyi lub kawiarni, czego nauczyliśmy się od Niemców, dla których niedziela lub święto nie byłyby dniami uroczystymi, jeśli nie mogliby wlać w siebie po kilka lub kilkanaście szklanek piwa, nieraz nic ze sobą nie mówiąc, a potem chwaląc się, jak się to przyjemnie i pożytecznie bawili.

Mistrzyni tennisa.

(Do illustracyi na stronie 9).

W świecie sportowym jedno z najpierwszych miejsc zajmuje panna Lenglen, specyalistka od gry w tennisa, zdobywczyni niezliczonej liczby mistrzostw światowych i nie światowych.

Panna Lenglen od piętnastu lat poświęca się tennisowi, doprowadziła w nim naprawdę do mistrzostwa, a gra jej, nadzwyczaj prosta, estetyczna i prowadzona z głębokim namysłem, zdobyła jej



Indochiny w Europie: W jednej z sal pagody buddyjskiej z Angkor na Wystawie kolonialnej w Marsylii oficyalne przyjęcie francuskiego jeneralnego gubernatora Indochin.



Niemiecki Zeppelin w służbie francuskiej: Statek powietrzny francuski *Méditerranée* (przedtem *„Nordstern"*) po przybyciu do Cuers pod Tulonem.

ogólny podziw i uznanie. Rzadko który z graczy może się poszczycić takim doborem partnerów, jak panna Lenglen. Grywali z nią lub przeciw niej: król szwedzki, belgijski, hiszpański, angielski, exkról portugalski, ks. Connaught, lord Balfour, admirał Beatty, za zaszczyt dla siebie uważali stanąć z nią do rozgrywki rozmaitego rodzaju maharadżowie, książęta, hrabiowie mniej lub więcej autentyczni. Do jej wielkich zwolenników należał także cesarz niemiecki, Wilhelm II., który w r. 1914. zaprosił ją do Berlina, chcąc w Niemczech obudzić większe zaintéresowanie do gry w piłkę, wojna światowa stanęła temu jednak na przeszkodzie.

Zdemaskowany oszust.

Przed niespełna rokiem zawitał do Krakowa sto trzydzieści lat liczący weteran napoleoński, który po bitwie pod Możajskiem otrzymał Legię Honorową z własnych rąk wielkiego cesarza, następnie uczestnik walk w r. 1831 i 1863., obecnie zbieg z pod jarzma bolszewickiego, szukający w Polsce schronienia wraz z swą wnuczką. Zbiegami, którzy przybyli do nas podobno piechotą, zajęto się nader serdecznie, sympatycznemu, a zasłużonemu staruszkowi przyznano wszystkie przywileje uczestników walk niepodległościowych i na polecenie Jeneralnej Adjutantury Naczelnego Dowództwa oddano w opiekę 8. pułku ułanów w Rakowicach.

Starowinie było u nas dobrze jak u Pana Boga za piecem, Krakowianie prześcigali się w okazywaniu mu swojego hołdu, karmili, poili, obdarowywali. Ten zimny zwykle Kraków, ślepy na prawdziwą zasługę, zmienił się do niepoznania, goszcząc w swych murach tak zasłużoną osobę. I gdyby tu starowina siedział, kto wie, czy przy najbliższych wyborach nie powołanoby go w skład Rady miejskiej, może nawet doczekałby się pomnika wcześniej niż Kościuszko, niespokojny duch zaniósł go jednak do Warszawy, gdzie równie głośno zareklamował się na wstępie. To go jednak zgubiło, pokazało się bowiem, że pochodzi on z Warszawy i ma tu swych znajomych, pamiętających go, jako rewirowego byłej carskiej policyi, Mikołaja nie Mieczysława Krasińskiego vel Kraśnickiego, prawosławnego, liczącego lat niewiele ponad ośmdziesiąt. Posiadał on równocześnie w Warszawie sklepik z mąką.

Osobą najstarszego weterana armii polskiej zajęto się dopiero teraz nieco bliżej i przekonano, że papiery, jakiemi się legitymował były podrabiane, a świadectwa osób trzecich, na które się powoływał, fałszywe. Pierwszym, który wyraził wątpliwość w autentyczność Napoleończyka, był krakowski szef francuskiej Misyi wojskowej, jen. Tronyo. Z pierwszego swego spotkania z weteranem odniósł on niemiłe wrażenie. Jeneralna Adjutantura, wprowadzona w błąd przez starego figlarza, który chciał naśladować „kapitana z Köpenicka", odwołała wszystkie na rzecz jego świadczenia, tem samem i przydział ziemi na kresach, do zagospodarowania której poszukiwał w inseratach wspólnika z większym kapitałem. Starowina na razie nie daje znaku życia i nie wiadomo gdzie i w jakim charakterze wypłynie znowu, aby tumanić łatwowiernych, których, jak widać, u nas nie brak.

Indochiny w Europie.

Jedną z największych atrakcyi obecnej Wystawy kolonialnej w Marsylii jest wspaniała pagoda buddyjska z Angkor-Wat w Kambodży i wieś anamska żywcem przeniesiona na grunt europejski. Zwiedzający wystawę, znalazłszy się tutaj, doznaje pełnego złudzenia, że jest w południowo-wschodniej Azyi, nie w Europie.

Goście zwiedzający wystawę, przyjrzawszy się z zachwytem mistrzowsko wykonanym modelom, naśladującym białe marmurowe pałace marokańskie, czarowne wodotryski, ogrody tropikalne, zapominają jednak o tych dziwach i stoją w osłupieniu, olśnieni nowym cudem, który wytryska nagle przed nimi jak objawienie. Cudem tym i największą atakcyą wystawy, jest fascimile pagody buddyjskiej, wierne naśladownictwo starożytnej świątyni, która wznosi się od tysiąca już lat, tajemnicza i groźna kędyś na krańcach południowej Azyi, w odległym kraju Kambodżi. Świątynia ta jest arcydziełem wschodniego kunsztu i najwspanialszym okazem sztuki budowniczej wygasłych już dziś plemion. Każdy cal kwadratowy murów pokryty jest rzeźbami, gmach cały tonie dosłownie w powodzi figur symbolicznych zwierząt, ptaków i twarzy ludzkich, wężów o siedmiu głowach itp. Przez cały rok ubiegły, zdejmowano cierpliwie odlewy rzeźb na poszczególnych płytach i przewożono je do Marsylii. — Następnie zbudowano pagodę na placu wystawowym naśladując dokładnie kształt pierwowzoru. Pagoda Angkor Wat tak się bowiem nazywa, jest już dziś opustoszała, lecz wyjątkowo trwała budowa, chroni ją od rozpadnięcia się

w gruzy. Główny trzon budynku, ten właśnie, który odtworzono na wystawie, ma formę czworokątnej piramidy uwieńczonej wysokiem sklepieniem. Z czterech rogów budynku tryskają cztery wieże zakończone czapkami w formie figur; do wież tych prowadzą zawrotnie wysokie schody. Niepodobieństwem było przenieść wraz z rzeźbionemi płytami odwiecznych gąszczów dziewiczego lasu, który otacza dziś świątynię, dodając jej więcej jeszcze uroku i grozy, zastąpiono go więc gęsto usadzonymi egzotycznymi krzewami, które uzupełniają złudzenie, wywierając wrażenie zwrotnikowego parku. Minąwszy bogate i urozmaicone zbiory rozmaitych produktów kolonialnych, znużony zgiełkiem i gwarem targowiska, które wytwarza każda wystawa, wędrowiec zwiedzający marsylskie pawilony, wytchnąć może i zadumać się przed tym pomnikiem kultury, tak różnej od naszej. Kiedyś przed wiekami wrzało tu jakieś życie zagadkowe, odprawiały się tajemnicze kulty. Jacyś kapłani walczyli tu zapewne o władzę, uwieczniali w dziwacznych rzeźbach legendowe przenośnie, jakie wytwarzała fantazya Wschodu. Potem wszystko minęło; jakaś katastrofa wymiotła stąd ludzi, dziki las wyrósł tu jak w bajce i ukrył zazdrośnie pagodę. Taką właśnie oglądał ją Piotr Loti, i opisał w swoich wspomnieniach podróżniczych.

Rząd francuski, pod którego władzą znajduje się Viocy Kambodżi, roztoczył opiekę nad cennemi ruinami, poczytując je za jedną z najwspanialszych osobliwości indochińskiej cywilizacyi, którą uprawiał tu niegdyś naród noszący miano Hmerów.

Niemiecki Zeppelin w służbie francuskiej.

Były niemiecki statek napowietrzny systemu Zeppelina, przedtem *Nordstern*, obecnie *Méditerranée* opuścił 27. lipca b. r. o godzinie dziesiątej wieczór Rochefort, aby udać się na swe nowe miejsce przeznaczenia, w Cuers-Pierrefeu koło Tulonu, gdzie wszedł w skład francuskiej flotylli napowietrznej. *Méditerranée* jest to „dirigeable" typu handlowego, o pojemności 22 tysięcy metrów kubicznych, długości 130 metrów, obsługiwany przez trzy motory, z których dwa służą do powrotnej drogi. Maksymalna szybkość wynosi 130 kilometrów na godzinę. Dostarczony w sierpniu 1921. podsekretaryatowi dla spraw aeronautycznych, został należycie wyposażony i zrekonstruowany, a w marcu 1922. wcielony do marynarki francuskiej. Jest on zaopatrzony w wielką łódź, urządzoną z komfortem, a mogącą pomieścić trzydziestu pasażerów.

Prowadzony przez porucznika Stapfera, a obsługiwany przez francuskich marynarzy, odbył już w Rochefort wiele próbnych ćwiczeń ku zupełnemu zadowoleniu, również w drodze stamtąd na swą nową placówkę, okrągło siedmset kilometrów, nie poniósł najmniejszego szwanku. Do Tulonu przybył w dniu 28. lipca o godzinie piątej rano, w godzinę później zaś wylądował w Cuers w obecności wiceadmirała Sagaux-Duvanroux, komendanta portu w Tulonie i szefa sztabu jeneralnego, kontradmirała Violette.

Typ tego rodzaju statków napowietrznych o sztywnej powłoce, wnętrzu, zaopatrzonem w balonety, wypełnione gazem, jest o tyle praktyczniejszy od balonów o powłoce wiotkiej, iż, w razie uszkodzenia powłoki zewnętrznej może się nadal utrzymać w powietrzu. Ujemną stronę stanowią gazy łatwo zapalne, używane do wypełnienia wnętrza, co statek naraża na ciągłe niebezpieczeństwo pożaru, który zniszczył dotąd większą liczbę Zeppelinów. W Ameryce buduje się obecnie kolosy napowietrzne, mające być wypełnione niezapalnym gazem.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego